

Janusz Majewski: Zdjęcia zaczynam od szampana

- Przy „C.K. Dezerterach” w latach 80., wprowadziłem taki zwyczaj, że zaczynam zdjęcia od wypicia szampana. Miałem ogromny kielich. Wlaliśmy tam kilkadziesiąt butelek szampana i ten kielich krążył. Niektórzy ludzie pierwszy raz pracowali ze mną i tym ich kupiłem - opowiedział o swoim zamiłowaniu do szampana Janusz Majewski, bohater spotkania w Muzeum Kinematografii.

Reżysera przywitali studenci łódzkiej Akademii Muzycznej, grający na saksofonie i puzonie. - Janusz nic o tym nie wie, ale w dzisiejszym „Dzienniku Łódzkim” jest nasz, mój i Janusza, kolorowy nekrolog, zawiadamiający o dzisiejszym spotkaniu - powiedziała Zofia Turowska, autorka biografii „Janusz Majewski. Film - kobieta jego życia” i pokazała gazetę reżyserowi. Była to kolejna pamiątka do bogatego archiwum urodzonego we Lwowie artysty. - Archiwum Janusza jest podzielone na dwie części. W jednej są zdjęcia i dokumenty dotyczące pracy Zofii Nasierowskiej (żony reżysera - przyp. red.). W drugiej, w dość w dużych kartonach, są różne rzeczy gromadzone przez Janusza. Kiedy przystępowałam do pracy nad książką, były one nieuporządkowane, więc musiałam się zdać na siebie - stwierdziła autorka, która w przeszłości stworzyła książkę o jego żonie - „Nasierowska. Fotobiografia”.

Lwowianin nie bał się otwarcia swojego archiwum przez Zofię Turowską i opisał genezę jego powstania. - Nie mam żadnych tajemnic. Archiwum powstało dzięki temu, że musiałem się przeprowadzić. Najpierw wyjechaliśmy z żoną na Mazury na wieś, gdzie mieszkaliśmy 20 lat i przechowywaliśmy te materiały na strychu. Potem, ze względu na stan zdrowia żony, wróciliśmy do Warszawy i trzeba to było z powrotem tam przewieźć. Kiedyś wszystko było wrzucane do kartonów byle jak, jednak w końcu postanowiłem z tym zrobić porządek - powiedział reżyser.

Autorka biografii przyznała, że do napisania książki zainspirowało ją znalezione w archiwum jedno z dzieł Majewskiego. - To były trzy zeszyty scenariusza „Królowej Bony”. Pomyślałam wówczas, że przedstawię Janusza na tle historii, w końcu najlepiej zna on czasy, w których się kształtowaliśmy. Tak została ułożona ta książka - powiedziała Zofia Turowska. W biografii zostały wykorzystane archiwalne zdjęcia z życia reżysera, które były wyświetlane podczas spotkania.

Zapytana o wyeksponowanie Łodzi w książce odpowiedziała: - Łódź jest na tyle wyeksponowana, na ile jest to miasto Janusza. Studiował tu i mieszkał. Stworzył tu też surrealistyczną etiudę „Rondo”, w której wystąpili Sławomir Mrożek i Stefan Szlachtycz. To od niej wszystko się zaczęło.

Reżyser przyznał, że bardzo dobrze wspomina okres studiów w łódzkiej Państwowej Wyższej Szkole Filmowej. - To była po prostu bajka. Mieliśmy wielką renomę u pięknych studentek z Akademii Sztuk Pięknych i koleżanek z wydziału. W mieście włókniarek było mnóstwo pięknych twarzy dziewczęcych, a my byliśmy wybrańcami bogów. Ustaliliśmy między sobą, że nie można używać legitymacji szkoły filmowej do podrywu - żartował Janusz Majewski. Podkreślał, że był to czas odwilży po 1956 roku, kiedy wydawało się, że Polska nie będzie już izolowana na arenie międzynarodowej i zbliży się do Europy Zachodniej. - Stan umysłu spowodował, że bardzo się ożywiliśmy, robiliśmy takie rzeczy w szkole, których do tej pory się nie robiło, na przykład ta etiuda „Rondo”. Wspominamy to z sentymentem, ten okres przyczynił się do rozwoju jakościowego polskiego filmu - stwierdził Majewski.

„Janusz Majewski. Film - kobieta jego życia” to książka, która przedstawia reżysera również jako

zwykłego człowieka zmagającego się z codziennymi problemami. Warto wspomnieć, że taki poważny reżyser, który robił „Zazdrość i medycynę”, „Zakłète rewiry”, czy „Sprawę Gorgonowej” pisał podania do fabryki butów o umożliwienie mu zakupu obuwia w niestandardowym rozmiarze dla syna, czy spierał się ze strażą celną o przewiezienie do kraju kremu leczniczego Penaten – powiedziała autorka biografii. – Z tym kremem była jeszcze jedna zabawna historia. Otóż kiedyś użył go mój kolega, czym rozwścieczył moją żonę. Nawet nie tym, że go użył, a tym, że włożył tam swój palec, co miało być śmiertelnym zagrożeniem dla życia naszego kilkumiesięcznego syna – wspominał z rozbawieniem reżyser.

Janusz Majewski był tego wieczoru w dobrym nastroju. Kiedy prowadząca spotkanie Anna Michalska nawiązała do jego książki „Ostatni klaps. Pamiętnik moich filmów”, której mottem przewodnim są słowa Samuela Goldwyna: „Myślę, że nikt nie powinien pisać autobiografii, zanim nie umrze” i zaznaczyła, że reżyser jednak napisał swoją autobiografię i jest bohaterem dzieł literackich następnych autorów, zapytała: Jak się pan czuje? Janusz Majewski odpowiedział z charakterystycznym dla siebie humorem: – To zależy, którego dnia – czym rozbawił audytorium. Potem odniósł się do pytania: – Wykorzystałem to motto ironicznie. Goldwyn był królem powiedzeń, które on wypowiadał na serio, ale później bawiły one całe Hollywood – stwierdził reżyser.

Zapytany o swobodę, którą pozostawia aktorom na scenie, wyjaśnił motywy takiego działania. – Aktorzy szerzą opinię, że jestem cierpliwym człowiekiem, który czeka, aż oni poddadzą się wszystkim elementom pozwalającym właściwie zinterpretować im role. To nieraz długo trwa, ale daje efekty. Aktor na planie musi mieć komfort. Zawsze o to dbałem, ponieważ w mojej wczesnej praktyce filmowej zetknąłem się z reżyserami, którzy się licytowali w okropnym awanturnictwie. Każdy starał się być demonem, którego boi się cała ekipa. A przecież do kina przychodzi się przede wszystkim dla aktorów. Aktor ma być prawdziwy w najbardziej nieprawdopodobnych sytuacjach – przyznał Janusz Majewski.

Na takie podejście do pracy miała wpływ jedna z historii z młodości. – Byłem scenografem u mojego profesora Antoniego Bohdziewicza. Nagrywaliśmy „Szkice węglem” i potrzebny był drogowskaz, którego nagle zażyczył sobie Bohdziewicz. Wycinaliśmy tę tabliczkę z dykty w ogromnych nerwach, mając obok siebie wrzeszczącego i tupiącego z wściekłości reżysera. Kiedy już kończyliśmy, operator Władysław Forbert spojrział w niebo i stwierdził, że dzisiaj nie będzie już zdjęć, bo zanoszą się na deszcz. Wtedy postanowiłem sobie, że, jeśli kiedyś zostanę reżyserem, nie będę tak robił, bo to bardzo zniechęca ludzi – opowiedział bohater wieczoru.

Pod koniec spotkania nadszedł czas na pytania publiczności. Janusz Majewski zapytany o ponadczasowość filmu „Zakłète rewiry” z 1975 roku odpowiedział, że jest to zasługa przypadku i szczęścia. – Szczęście jest potrzebne nawet największemu pracusiowi, bez szczęścia nic się nie powiedzie. Miałem to szczęście, że dobrze obsadziłem główne role i dałem szansę młodemu aktorowi Markowi Kondratowi. On miał talent z Bożej łaski, był perełką. Jego gra nakręciła rywalizację z Romanem Wilhelmim i to obu im pomogło – przyznał reżyser. Zawrócił też uwagę, że nie bez znaczenia były aspekty techniczne. – Robiłem to w Pradze z Mirkiem Ondříčkem, światowej sławy operatorem. W Czechach były wówczas lepsze warunki, niż w Polsce – stwierdził Majewski.

Zapytany o pracę nad następnym filmem pełnometrażowym, opowiedział o trudnościach, które napotyka. – Traktuję teraz pracę jako środek medyczny, który utrzymuje mnie przy życiu. Napisałem książkę „Czarny mercedes” o okupowanej Warszawie w 1942 roku. Chciałbym zrobić z tej powieści film i serial. Niestety trafiłem na taką epokę, że trudno to sfinansować. Dzięki dokonaniu „dobrej zmiany” tkwimy w zawieszeniu przez brak decyzyjności.

Po spotkaniu wyświetlono film „Po sezonie” (2006) z Leonem Niemczykiem w głównej roli. Zdanie

wypowiadane przez głównego bohatera: „Ironia jest przyprawą, która zaostrza smak życia” można uznać za motto nie tylko „Po sezonie”, ale również Janusza Majewskiego.

Tekst i zdjęcia:

Kacper Krzeczewski